

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Oa Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

POD ZNAKIEM ROZBICIA NARODOWEJ-DEMOKRACJI.

NIEDYSKRECJE:

Rozkład wewnętrzny Narodowej Demokracji	146
Wzruszające unisono	"
Zawód za zawodem	"
Zbrodnicza ręka	"
Odpowiedź Litewska na notę Polską	"
Konflikt Włosko-Austrjacki	147
Reforma wojskowa we Francji	"
Zwycięstwo rządowej partji	"
CO DALEJ?— <i>Wojciech Szukiewicz</i>	"
ZRÓDŁO POTĘGI, CZY NIEBEZPIECZEŃSTWO— <i>A. Uziębło</i>	148
SYMPTOMATY PRZEŁOMOWEGO ZWROTU — <i>T. Grużewski</i>	149
EURAZJANIZM JAKO NOWA ODMIANA IMPERJALIZMU ROSYJSKIEGO — <i>Wassan-Girej Dżabagi</i>	150

KONFERENCJA PANAMERYKAŃSKA NA KUBIE W SWIETLE OPINJI POLUDNIOWO-AMERYKAŃSKIEJ

Dr. *Edward Boyé* 152

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI.

Także o akademji — <i>Zofja Nałkowska</i>	154
Na marginesie — <i>xyz</i>	155
Buchalterja — <i>Władysław Sterling</i>	156
Kultura i demokracja — <i>M. Czapska</i>	157
Dyskusja w sprawie Litewskiego Kościoła Wojującego — <i>L. E.</i>	158
Głos Ucznia — <i>A. L. — cz.</i>	"
Nad książką — <i>ab.</i>	"
Echa literackie — <i>lim.</i>	159
Z Rosji Sowieckiej — <i>a. t.</i>	"
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	160

NIEDYSKRECJE.

ROZKŁAD WEWNĘTRZNY NARODOWEJ DEMOKRACJI postępuje szybciej, niżby się to pozornie wydawać mogło. Pod znakiem tego rozkładu odbywają się wybory, których rezultat ujawnić się ma właśnie w dniu dzisiejszym. Jakkolwiek wiele mandatów uzyskałaby lista endeckiej, wsparta ciemnotą polityczną szerokich mas drobnomieszczańskich i siłą sugestji kazalnicy kościelnej i konfesyjonału, pozostaje faktem, iż na tle wielkiego skurczenia się zasięgu wpływów N. D., zaraza rozkładu opanowała najbardziej zakonspirowane jej szczyty. Naturalnym porządkiem rzeczy zarysował się on przede wszystkim na platformie zagadnień ekonomicznych. Jeśli zabawa w opozycję dla opozycji może ostatecznie znaleźć amatorów wśród ludzi nie odczuwających bezpośrednio swego związku ze stanem gospodarczym Państwa, a więc biuralistów czy drobnych sklepikarzy, — nie może ona już zupełnie lieżyć na powodzenie w sferze ludzi stykających się ściśle z realizmem życia materialnego, związanych z życiem gospodarczym. Ci też przede wszystkim opuścili szeregi partyjne, szukając platformy politycznej, pozytywnie ustosunkowanej do życia Państwa i pracy rządu. — Obecnie rozdźwięki i rozłamy weszły już na płaszczyznę zagadnień natury ideologicznej. W odmęcie szaleństw gry partyjnej, wytańcowującej obłądnego kankana sprzeczności od korzenia się plackiem przed domniemanymi życzeniami kleru do wchodzenia w ciche sojusze z komunistami, — w tym zamęcie bzdur i nikczemności i upodłej, zrodziła się tęsknota do spokoju, opartego o starą doktrynę N. Demokracji. Jaka ma ona być obecnie — co do tego niema zdaje się jasnych u jej zwolenników wyobrażeń. Jest ona jednak pojmowana jako zaprzeczenie obecnej taktyki partyjnych wodzirejów i pozytywny stosunek do pracy państwowej. Na tem tle nastąpił rozłam otwarty, zaznaczony ukazaniem się w nowej szacie starej „Gazety Porannej 2 grosze“, pod redakcją jej twórcy, p. Sadzewicza. Walka między tym organem a „Gazetą Warszawską“ będzie powoli ujawniać głębokość i rozwój procesu rozłamowego.

WZRUSZAJĄCE UNISONO ENDECJI, PIASTA I P. P. S. w obronie „zagrożonej“ demokracji i parlamentaryzmu ma tło bardzo przejrzyste. Jest to tęsknota do rozbitego korytka smutnej pamięci dawnego sejmu, do macherek i kombinacji zakulisowych, na których tuczyli swoje ambicje, czy też napełniali kieszenie „demokracji“ z pod różnych znaków partyjnych. Ale minęły piękne dni Araneuzul! Przemówił instykt samozachowawczy narodu, Miotta majowa wymiotła całą pstrokaciznę nieużytków. Stąd ich gniew potępieńczy, zgrzytanie zębami i... solidarność w nieszczęściu. Jaki jest jednak związek tego wszystkiego z demokracją i parlamentaryzmem, na pytanie to nie potrafią odpowiedzieć szalbierze opinii publicznej, którzy balamucją swą trzodkę odezwaniami o faszyzmie i dyktaturze. Jest rzeczą charakterystyczną, że t. zw. opozycja, poza pustymi frazesami, nie była w stanie przez cały czas kampanji wyborczej wytoczyć ani jednego rzeczowego argumentu przeciw rządowi marszałka Piłsudskiego. Wspólny strychulec pozbawił ją całkowicie konceptów, ale, wogóle, zdrowego sensu. I oto wyrażerowane kałarynki „Robotnika“, „Gazety Warszawskiej“, „Rzeczypospolitej“ et tutti quanti do spółki z liberalizującym majufesem „Naszego Przeglądu“ wygrywają żalodne melodie o utraconym raj

przywilejów sejmowych, o pogrzebionej „woli ludu“ o smurzałych doktrynach wszechwładztwa klik i konwentyklów, nad którymi teoria i praktyka Zachodu dawno już przeszły do porządku dziennego. Politowania godzin jest ten jazz-band starych panien, wzdychających ku ołtarzowi ślubnemu, który stał się dla nich przedmiotem niedosięglych marzeń.

A TYMCZASEM ZAWÓD ZA ZAWODEM spada na wyłysiałe głowy brzuchatych „narodowych katolików“. Oto serdeczni ich przyjaciele i wymarzeni sprzymierzeńcy w poczynaniach antypaństwowych — „komuniści“ — „rozłamali się“ w najciekawszym miejscu, wzorem moskiewskich towarzyszy, na „stalinowców“ i „trockistów“. Co gorsze nie chcą oni głosować na przeforsowaną przez endecków „trzy-nastkę“ przez co śmiały pozbawiać sprzymierzeńców tak pożądanego sukursu na terenie przyszłego Sejmu. Dochodzą nas wieści, że na tle rozłamu u „przyjaciół“ zaczęły się tarca ideowe w niezbyt ponętnej łonie samej Endecji. Oto ks. Czartoryskiemu ma się podobać liberalna polityka Stalina w stosunku do „kulaków“, „strateg“ Trampczyński czyta na swoim „chaise perché“ wojownicze mowy Woroszyłowa, natomiast p. Stroński, ze względu na pewne fizyczne podobieństwo jakoby całkowicie solidaryzuje się z Trockim.

ZBRODNICZA REKA pcha znowu łatwozapalne masy mniej, uświadomionej młodzieży na tory antypaństwowych wybryków. Menerzy endeckiej, zbyt tchórzliwi, by przemawiać na wiecach (p. Strońskiego, na przykład, po ostatniej „jajecznicy“ od trzech tygodni nie oglądaliśmy na żadnej trybunie), nie wahają się podjudzać nieopierzonych „fuków“ do bratobójczych ekscesów. Rzecz niezmiernie charakterystyczna, że ubiegłego wtorku w tłumie młodzieńców, demonstrujących przed Politechniką nie było ani jednego z „wszechpolskich przywódców“.

P. P. Rabskim, Stypułkowskim i Mosdorłom nie starczyło widocznie odwagi... tak jak wypchniętym na ulicę krzykaczom nie starczyło... rozważli.

Widzimy więc, że według prastarej metody, przyjętej w „czarnej mafii“ endeckiej, „plebs“ (choćby w deklach najszykowniejszych korporacji) nadal jest używany przez „panów“ do t. zw. „brudnej roboty“.

Nie byłoby to wszystko zresztą takie straszne, gdyby nie fakt, że tylko dzięki wyjątkowemu taktowi policji nie doszło do prawdziwie krwawej tragedji.

ODPOWIEDŹ LITEWSKA NA NOTE POLSKĄ mimo, iż utrzymana jest we właściwym p. Waldemarasowi stylu i tonie złośliwo-polemicznym, stwarza jednakże pewne podstawy do nawiązania rozmów z rządem kowieńskim. Nie będziemy się zastanawiać nad tem, co skłoniło obecnego szefa rządu litewskiego, do zaniechania uporu i propozycji rokowań; czy prostolinijność i stanowczość naszej polityki, — czy też nacisk ze strony mocarstw zachodnich. Dość, że p. Waldemaras zatrąbił na odwrót, zamikł naręcznie o Wileńszczyźnie i wkracza powoli na drogę rozsądku. Szkoda, że nie uczynił tego wcześniej. Zaoszczędziłby bowiem wiele rozczarowań sobie i wiele szkód swemu rządowi. Inne szczegóły jego noty — skargi, pretensje i żale — należą do kuratorów retorycznych tego osobliwego męża stanu, nad którymi można od biedy przejść do porządku dziennego. Nie zasługują one na to, by się dłużej nad nimi zatrzymywać. Widocznie p. Waldemaras jest

pod tym względem nieuleczalny. Co się tyczy konkretnej treści jego propozycji, a mianowicie sposobu, a ewentualnie i miejsca rokowań, — i w tem przejawia się dążenie dyktatora kowieńskiego do gry na zwłokę oraz piętzenie trudności. W każdym bądź razie jest to niewątpliwie krok naprzód w porównaniu ze wszystkimi dotychczasowymi aktami mądrości politycznej p. Waldemarasa.

KONFLIKT WŁOSKO-AUSTRJACKI zbyt szumnie tak nazwany przez sensacyjną prasę nie zasługuje na to miano. Dysproporcja sił obu stron jest zbyt rażąca, by mówić o poważnych konsekwencjach tego „zatargu“, o ile on nie straci charakteru lokalnego. Odruch oburzenia opinii parlamentu austriackiego z powodu metod, stosowanych przez władze faszystowskie względem ludności niemieckiej południowego Tyrolu, jest zjawiskiem naturalnem. Sympatje całego świata są po stronie górali tyrolskich, ofiar bezwzględnej, tępego ucisku niemieckiego. Faszystom chce odebrać im ich mowę ojczystą, zitalizować ich gwałtem, niepomny doświadczeń historii, która na niezliczonych przykładach poucza, iż jest rzeczą niemożliwą wytepić kulturę i ducha narodu zapomocą środków represyjnych. Większe od faszystów potęgi uporały się z tem bezskutecznie. Nie sądzimy też iż p. Mussolini sam wierzy w możliwość powodzenia tych metod. Wydaje się raczej prawdopodobnem, iż krzyk podniesiony przez prasę faszystowską z powodu manifestacji, uczuć Niemców austriackich na rzecz ich rodaków w Tyrolu ma inny podkład i jest tylko dywersją dyplomatyczną celem odwrócenia uwagi na terenie międzynarodowym od innych spraw dotyczących Włoch, a zwłaszcza od bardzo dla nich przykrej afery transportów broni do Węgier, która znalazła się na forum Ligi Narodów.

REFORMA WOJSKOWA WE FRANGJI jest na ukończeniu. Izba deputowanych i senat zakończyły już ob-

radę nad dwoma projektami rządowymi, o organizacji kraju na wypadek wojny oraz o rekrutacji. Obecnie izby przystępują do rozpatrzenia trzeciej części reformy wojskowej — ustawy o reorganizacji armji. Wobec zbliżającego się terminu rozwiązania parlamentu, prace nad projektami posuwają się z wyjątkową szybkością i według przewidywań rządu zakończone zostaną w ciągu dni 14-tu, a więc jeszcze w obecnej kadencji. W związku ze zmianami, jakie wskutek wprowadzenia reformy nastąpią w armji francuskiej, krążą w Paryżu uporczywe pogłoski, iż inspektor generalny armji francuskiej i członek najwyższej rady wojskowej, marszałek Pétain, zamierza ustąpić ze swego stanowiska. Jako jego następcę, wymieniają dotychczasowego dowódcę armji reńskiej, generała Guillaumat.

ZWYCIĘSTWEM RZĄDOWEJ PARTJI Seiyūkai zakończyły się wybory w Japonji. Jest to, co prawda zwycięstwo nieznaczne, skoro się zważy, że opozycja liberalna przy pomocy drobnych grup parlamentarnych utworzyć może większość antyrządową. Nie mniej jednak nie należy spodziewać się w najbliższej przyszłości ustąpienia gabinetu barona Tanaka, reprezentującego wyższą arystokrację, generalizację i sfery ziemiańskie, gdyż w myśl konstytucji japońskiej rząd jest odpowiedzialny nie przed izbą ustawodawczą, lecz przed tajną radą cesarską. Na zaznaczenie zasługuje nieoczekiwanie szeroki udział wyborców japońskich w głosowaniu, wynoszący przeciętnie 80 procent, wówczas gdy wybory gminne na jesień roku ubiegłego roku przeszły pod znakiem zupełnego indyferentyzmu. Po raz pierwszy obecnie wchodzi na widownię życia politycznego Japonji socjalistyczna partja robotnicza, która zdobyła 8 mandatów. Reprezentanci robotników japońskich w parlamencie należą do elity intelektualnej cesarstwa w przeważnej części są to bowiem profesorowie uniwersytetów.

Co dalej?

Uświadomienie polityczne, społeczne, i kulturalne szerokich mas w Polsce jest z przyczyn powszechnie znanych bardzo małe, co się ujemnie odbija się na całokształcie naszego życia państwowego i narodowego. Brak tego uświadomienia atoli nie wynika z obojętności tych szerokich mas, z jakiejś niechęci do zdobycia szeregu wiadomości zmierzających do pogłębienia światopoglądu obywatelskiego, przeciwnie liczne zastępy chwytają każdą nadającą się sposobność do zdobycia wiadomości i jakiego takiego bodaj wykształcenia w sprawach publicznych.

Uderzającym potwierdzeniem powyższych uwag jest zainteresowanie szerokich kół polskich nie tyle może wyborami, ile tym splotem najpoważniejszych i najzawilszych zagadnień z tegorocznymi wyborami związanymi. Głębokie zadowolenie urządzającym wiece wyborcze sprawia nie tylko liczny udział wyborców, ale i to pilne wysłuchiwanie przemówień stojących zawsze na poziomie zdawałoby się zgoła niedostępnym dla umysłów nie-

wyszkolonych i odpowiedniej dyscypliny nie posiadających. Wątpliwości, czy mówcy nie minęli się z celem mierząc za wysoko, rozpraszają rozmowy i uwagi wiecowników świadczące, że ma się do czynienia z obywatelem polskim zaczynającym rozumieć swe prawa i obowiązki.

Powiedziałem: zaczynającym rozumieć, bo nie zdaje mi się, aby już można było użyć wyrażenia; rozumiejącym, gdyż tak daleko w swej kulturze politycznej jeszcze nie zaszliśmy.

Ale zachodzi pytanie, czy razem z wyborami i nieodłączną od nich propagandą ma się ta praca uświadamiająca skończyć a raczej przerwać na całych następnych pięć lat? Na to pytanie miałbym jedynie przeczącą odpowiedź. Wiece i przemówienia propagandowe powinny być zastąpione przez systematyczny całą Polskę obejmujący kurs nauki obywatelstwa, obsługiwany przez szereg prelegentów nie przygodnych i rzecz po amatorsku traktujących, lecz specjalnie do tej pracy przygotowanych i działających w porozumieniu z jakąś specjalną instytucją państwową i społeczną, mającą na celu jedno z najtrudniejszych zadań a mianow-

wie kształcenie nas Polaków na świadomych swych praw i obowiązków obywateli kraju.

W związku z tego rodzaju kursem nauki obywatelstwa, obsługiwanym przez cały szereg zawodowych prelegentów pici obójga, winno by zostać powołane do życia specjalne popularne serjowe wydawnictwo kolportowane po całym kraju podobnie jak się to dzieje obecnie z tak zwaną „bibułą wyborczą“, aby objąć swym kształcącym i uświadamiającym wpływem milionowe rzesze ludu polskiego.

Zbyteczna bodaj dodawać, że akcja ta obok ludności rdzennej polskiej powinna objąć wszystkie mniejszości narodowe, w których wpojenie poczucia państwowości polskiej miałyoby dla naszej przyszłości politycznej wprost podstawowe znaczenie.

Kształcenie świadomych praw i obowiązków obywateli polskich wywarłoby wysoce korzystny i dodatni wpływ nie tylko na nasze stosunki wewnętrzne, o co idzie w tym jak i w każdym innym wypadku przedewszystkiem, ale i na położenie nasze poza granicami kraju tam szczególnie, gdzie mamy tak liczne zastępy polskich wychodźców: robotników rolnych i kolonjalnych, jakoteż osadników. Wszystkim działaczom na polu zagadnienia wychodźczego wiadomo jak trudna jest praca na wychodźstwie pomiędzy innymi z tego powodu, że ma się do czynienia z elementem mało lub wcale nie uświadomionym, co z jednej strony znakomicie pogarsza szanse naszych wychodźców w walce o zdobycie należnego im traktowania w krajach imigracyjnych, a z drugiej obniża ogromnie prestiż Państwa polskiego, gdyż z poziomu kulturalnego i obywatelskiego, na jakim znajduje się, nasze wychodźstwo, sądzi się zazwyczaj zagranicą kraj macierzysty.

W kursie, o którym wyżej mówiłem, należałoby tedy również uwzględnić potrzeby naszego tak silnego ruchu wychodźczego, odgrywającego w państwowem zarówno, jak i gospodarczem życiu Polski coraz donioślejszą rolę.

Wojciech Szukiewicz.

ZRODŁO POTĘGI, CZY NIEBEZPIECZENSTWO.

Widmo grożącego przeludnienia już sto lat temu zawisło nad Europą. Już sto lat temu Malthus sformułował swe prawo o geometrycznym postępie wzrostu ludności i arytmetycznym—środków żywności, nawołując do racjonalizacji mnożenia się. Po wojnie poruszył ją u nas A. Krzyżanowski, dowodząc, że nadmiar ludności jest rzeczą szkodliwą dla kultury i dla rozwoju gospodarczego. Obecnie tę samą kwestję omawia na samym początku swego kapitalnego dzieła dr. Mieczysław Szawleski^{*)}. Europa ma około 6 milionów bezrobotnych, pobierających zasiłki z kas rządowych. Co z nimi

^{*)} M. Szawleski „Polska na tle gospodarki światowej”. Warszawa 1928.

zrobić? Emigracja? Istotnie ta emigracja zabierała przed wojną około 2 milionów ludzi—dziś spadła do kilkuset tysięcy. Ludność rośnie z roku na rok, z roku na rok rośnie i bezrobocie. Z roku na rok rośnie nędza, z roku na rok problemat populacyjny staje przed oczyma naszymi w coraz to groźniejszej postaci.

Dlaczego—pytamy. Toć obszary słabo zaludnione, albo całkowicie niezaludnione jakby czekały na ludzką pracę, na ludzkie ręce gotowe dać możliwość zdobywania chleba niezmiernym rzeszom. Toć są kolonje, których nie może zaludnić ich metropolja. Toć same potężne, bogate Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mają zaledwie 13,5 mieszkańców na kilometr kwadratowy, coż mówić o Brazylii, z jej 3,5 lub Australji z jej 0,7 ludzi na klm. Nie można więc mówić o absolutnem przeludnieniu.

I dalej—inne są zupełnie przyczyny tego przeludnienia w różnych krajach Europy. Anglja ma np. olbrzymie obszary na które może wysiedlać nadmiar swej ludności. Wysiedlała też na nie istotnie około czterystu tysięcy rocznie przed wojną. Dziś stosunki się zmieniły. Rozwój przemysłu za czasów wielkich zmagani na froncie i niezmiernego zużywania amunicji i innych artykułów niezbędnych do prowadzenia wojny—ogromny wzrost zarobków w tym czasie i podniesienie się stopy życiowej robotnika stworzył szereg przyzwyczajęń, których z trudem się człowiek wyzbywa. Nawet bezrobotny pozostaje pod opieką państwa i dostaje zasiłki, które pozwalają mu czekać na lepsze czasy. Tego wszystkiego niechętnie się wyzbył dla niepewnych nadziei zdobycia chleba gdzieś w obcych stronach, gdzieś, na odludziu, gdzie każdy pozostawiony jest samemu sobie i nie może na nikogo i na nic liczyć oprócz siebie Anglja propaguje emigrację, ale nie może jej wywołać u siebie—boi się korzystać z materiału ludzkiego innych państw Europy ze względów nacjonalistycznych. Płyne stąd dla niej ogromne niebezpieczeństwo—powiedzmy nawiasem. Garstka białych Anglików rozsypana jest na ogromnem terytorjum śród kolorowych tuziemców— a ci z wolna przestają być elementem biernym i coraz wyraźniej sięgają po równouprawnienie, po udział w rządach—po niepodległość. Inaczej wygląda sprawa emigracji w Polsce. Tu istnieje wielki pęd do niej. Obywatel polski nie osiągnął tej skali dobrobytu, któraby go mogła zatrzymać na miejscu. Bezrobotny niema opieki, jaką zapewnia jego koledze w nieszczęściu imperjum brytyjskie. Co więcej— a tę stronę kwestji bardzo mocno podkreśla Szawleski—Polska posiada całą klasę pół bezrobotnych pod żadne ubezpieczenie, ani pod żadną opiekę nie podpadających w postaci ok. 6 ciu milionów małorolnych, których warsztat pracy jest tak mały, że nie jest zdolny ani zatrudnić, ani wyżywić swych właścicieli. Mamy więc warunki do rzucenia na świat olbrzymiego zastępu kolonistów doskonałych, zdolnych do przetrwania najcięższych warunków. Ale nam właśnie brak terenów, na które moglibyśmy ich skierować.

A tereny te potrzebne nam są nie tylko ze względu na wywiezienie względnego nadmiaru lud-

ności, ale i dla pozyskania rynków zbytu, dla rozszerzenia dziedziny naszego zasięgu gospodarczego, a więc dla możliwości zgęszczenia ludności w samym kraju—rozwoju przemysłu rodzimego, wypieranego z obcych rynków przez konkurencję. I oto Szawleski, człowiek z zagadnieniami emigracji głęboko obznajmiony, badacz, który tej sprawie poświęcił doskonałą pracę („Kwestja migracji w Polsce“ Warszawa 1926.) w najnowszym swem dziele cofa się przed rzuceniem szerokiego programu i raczej skłonny jest za prof. Krzyżanowskim, uczonym nieposłedniej miary, ale też politykiem bardziej ostrożnym niż przewidującym, zalecić „racjonalizację“ populacyjną, ograniczenie ilości urodzin, i z pewnym żalem stwierdza, że głęboko zakorzeniona religijność szerokich sfer ludowych racjonalizacji tej postawi bardzo poważne przeszkody.

Otóż pod tym względem najzupełniej się niezgadamy z p. Szawleskim. Naszem zdaniem niewolno nam marnować zdolności rozrodczych narodu polskiego—owszem, wszystkie siły muszą być skierowane ku wyzyskaniu ich dla potęgi Rzeczypospolitej.

Omawiając na innem miejscu ostatnie dzieło Szanownego Autora podnieśliśmy już, że stawia ono nas w rzędzie „arbitrów“ przyglądających się temu, jak potentaci rozstrzygają ich losy, w rzędzie twórców politycznych i gospodarczych drugiego rządu, o których decydują inni, których najradykałniejsze zagadnienia rozstrzygnięte zostaną w walce między jednak, w gruncie rzeczy, wrogimi nam systemami. Tego rodzaju wnioski nasuwa niejednemu konieczność zatrzymania się w miejscu, gdzie najmniej kul pada ale zaiste zawodne są te próby, zwłaszcza, że stojąc między wschodem i zachodem bodaj że jesteśmy najbardziej eksponowani i jeżeli Anglja będzie walczyła o swoją potęgę, to dla nas ta walka, jak i boje w czasie wielkiej wojny narodów zdecyduje poprostu o istnieniu. Otóż nie o bezpiecznym schowku myśleć wypada, ale o planie strategicznym, który pozwoli nam odegrać rolę jak najpoważniejszą.

Nie mamy bogactw materialnych, nie posiadamy potęgi przed którą zadrżałyby mocarstwa świata. Posiadamy jednak potężne siły rozrodcze i ogromne zdolności kolonizatorskie. Te atuty potrzebne, ba, niezbędne są na świecie — potrzebne są jeżeli nie Anglosasom — to narodom łacińskim Ameryki Południowej, a jeszcze bardziej państwom romańskim, posiadającym rozległe kolonie w Afryce, narodom, które nie mają sił do prowadzenia racjonalnego osadnictwa i które coraz lepiej poczynają sobie zdawać sprawę, że dla utrzymania wpływów na obcym lądzie muszą się odwołać do pomocy sprzymierzeńców. Tu otwiera się dla polityki polskiej olbrzymie pole pracy pięknej, pracy nawskroś ofensywnej.

Nie, nie „racjonalizacja“ urodzin, a przez to utrzymywanie owej druzgórności Polski wśród narodów świata, ale położenie podwalin pod kolonie polskie—oto do czego dążyć musimy. Hasłem na dziś jest postawienie racjonalne sprawy dostępu do morza i zdobycie terenów zamorskich. I niech

nas nie straszą defetyści różnego autoramentu tyśiącznymi trudnościami. Nas rzeczy łatwe nie nęciły nigdy i nęcić nigdy nie będą. Polskę stać na to, by podejmować najcięższe zagadnienia i pokonać największe przeszkody, jakie staną na drodze. Mamy wrażenie, że i p. Szawleski, jeżeli nawet w książce swej nie postawił tej sprawy zupełnie wyraźnie, to w gruncie rzeczy zgodzi się na naszą tezę i będzie nadal, jak i dotąd jednym z najwybitniejszych pionierów kolonialnych, do połączenia których w związek tak walnie się przyczynił. Powiedzmy więc: książka jego jest jednym wielkim uzasadnieniem tego właśnie stanowiska.

A. Uziembło.

Symptomaty przełomowego zwrótu.

Publicysta miesięcznika *The Forninghtby Review*, Augur, którego artykuły ukazują się od dłuższego czasu w jednym z dzienników warszawskich ponownie sygnalizuje zwrot, jaki zachodzi obecnie we wzajemnym stosunku Ameryki i Anglii oraz tej ostatniej do całej polityki europejskiej. Za naczelną zasadę polityki brytańskiej, a zwłaszcza stronnictwa unionistycznego uchodziło od lat trzydziestu utrzymanie jaknajbliższej, najściślejszej przyjaźni z Ameryką. Jest ona w organicznym związku z koncepcją światowego imperjum brytańskiego, obejmującego wraz z metropolią europejską wszystkie dominja i kolonie angijskie. Ideologia tego rozległego planu opierała się na jedności rasy anglosaskiej, na wspólności językowej i kulturalnej „wszystkich brytów z tej i tamtej strony morza“.

Stany Zjednoczone, które stanowią największy i najpotężniejszy odłam owej rasy, mogą powyższej ewolucji sprzyjać albo nader skutecznie przeszkadzać. Kanada, Australja i Nowa Zelandja podlegają kulturalnym i ekonomicznym wpływom wielkiego słońca amerykańskiego i mogłyby je w danym razie uważać za naturalniejszy ośrodek przyciągania dla całego świata anglo-saskiego, niż niewielkie wyspy brytańskie w pobliżu Europy. Dotychczas cprawda odległe dominia nie okazywały tej dążności, lecz lojalność ich wobec metropolji będzie wystawiona na ciężką próbę, jeżeli między nią a Stanami dojdzie do poważnych nieporozumień.

Łatwo więc zrozumieć, że plany zacieśnienia związku z dominiami i przyjaźni z Ameryką stanowią w umysłach imperjalistów brytańskich zwartą jedność, której nic psuć nie powinno — i której podporządkować należy najważniejsze względy polityki zagranicznej oraz wewnętrznej.

To też poprzednik obecnego premiera Bonar Law stawiał dla Wielkiej Brytanji program naśladowania Stanów Zjednoczonych, wycofania się ze spraw i zobowiązań europejskich i zamknięcia się we własnych oceanicznych widokach. Tu wszakże imperjalizm oceaniczny spotyka ogromnej wagi prze-

szkody natury gospodarczej i poniekąd tradycyjnoidowej.

Aby zjednoczyć mocniej z metropolją dominia, trzeba by otworzyć na oścież dla ich produktów rolnych rynek angielski, to znaczy utworzyć z niego obcą konkurencję. Trzeba tedy postawić przeciw tej ostatniej barierę celną, która odegra rolę ochronną w stosunku do surowców z dominiów. Taki był plan wielkiego Joe Chamberlain'a, ojca dzisiejszego ministra spraw zagranicznych. W jego koncepcji unja celna miała być tą potężną kłamrą, która zbliży i zacieśni spójnię pomiędzy częściami światowego imperjum i za którą pójdą inne organy jego jedności.

Ale agitacja Chamberlain'a za głami skończyła się klęską i wielkim zwycięstwem liberałów, którzy po nim nie wypuścili steru rządów aż do wojny światowej. Po wojnie unionistyczni premierzy Bonar Law i Baldwin próbowali realizować plan imperjalizmu celnego. Ostatni odważył się wystąpić z nim otwarcie i zrobił z niego hasło przedostatniej kampanji wyborczej. Przegrał wszakże i jeżeli w następnym wyborach odniósł walne zwycięstwo nad partją pracy i liberałami, to tylko dzięki temu, że wyrzekł się swych projektów celnych. Prawdopodobnie odwrotu tego krańcowi imperjaliści nie uważali za definitywny i rezerwowali sobie przy sprzyjających okolicznościach możliwość powrotu do niego. Ale według przysłowia, czas płaci, czas traci. W ciągu lat ostatnich zaszyły ważne fakty, które uważać należy za wyłomy w imperjalistycznej koncepcji i które dalszą jej realizację znacznie utrudniają nawet po za obrębem ciężkiej kwestji celnej.

Przedewszystkiem Locarno. Gabinet londyński podpisał pakt, nakładający poważne zobowiązania i krępujący w dużym stopniu jej wolność posunięć.

Dominia nie chciały w nim brać udziału i postawiły czął Baldwina wobec alternatywy albo zaniechania paktu albo też zawarcia go w imieniu samej tylko Anglii bez jej zaoceanowych sojuszników. Gabinet unjonistyczny wybrał to ostatnie i sam dokonał szerokiego wyłomu w swej zasadzie imperjalistycznej. Niebawem też na konferencji imperjum brytańskiego zażądały dla siebie całkowitego zwolnienia z pod władzy metropolii i to w całym zakresie otrzymały. Jedynie osoba wspólnego monarchy oraz poczucie wspólności językowej łączą dzisiaj poszczególne części imperjum brytańskiego. Z dawnych projektów stworzenia wspólnej floty brytańskiej i takiejże armii nic nie doszło do skutku.

Obecnie planom imperjalistycznym w dotychczasowej ich koncepcji stała w poprzek nowa przeszkoda, której do niedawna nie brało wcale w rachubę. Chodzi o Amerykę, która zajmuje obecnie wobec Anglii postawę, nie odpowiadającą zgoła ideologii rasy anglosaskiej i opartej na niej budowy imperjalistycznej. Zaczyna się już wysycić flotowy pomiędzy obiema potęgami, a współzawodnictwo handlowe zaznacza się coraz widoczniej. Nie należy z tych objawów wyciągać prognoz wojennych, w zagadnieniu wszakże, o które nam w

danym razie chodzi, odegrywają one bodaj rozstrzygającą rolę.

Unioniści dochodzą do przekonania, że wobec piętrzących się ze wszystkich stron trudności, swego wielkiego planu nie przeprowadzą. Temsamem muszą już innemi oczyma patrzeć na Europę, jej zadania i kłopoty.

Przed samą konferencją genueńską Bonar Law bez ogródek dał wyraz swym wątpliwościom, czy dla Anglii warto wogóle pracować nad pacyfikacją i odbudową gospodarczą Europy, czy nie lepiej machnąć ręką na to beznadziejne zadanie i oprzeć przyszłość kraju na imperjalistycznym związku z dominjami i na jego samowystarczalności.

Dzisiaj po sześciu latach wymownych doświadczeń publicysta tego samego obozu, Augur propaguje biegunowo przeciwne hasło łączności Anglii z Europą, aby wspólnie z nią ułożyć przyszły stosunek do Ameryki, która zbyt dotkliwie i bezceremonjalnie daje uczuć naszej części świata swą ekonomiczną i polityczną przewagę. Zakrawa to mocno na dążenie do tworzenia wspólnego frontu przeciw Ameryce, jakkolwiek Augur zastrzega się przeciw podobnemu pojmowaniu odnośnych artykułów. Nie chodzi tu zresztą o nazwę, lecz o rzecz, a trudno oprzeć się wrażeniu, że ma on na myśli nie co innego, jak właśnie wspólny front europejski pod egidą Anglii przeciw zbyt rozpanoszonej Ameryce.

Zwekslowanie na ten nowy tor polityki angielskiej pociągnęłoby cały szereg doniosłych zmian, których obecnie niepodobna nawet wymienić a tem mniej określić. Zamiast wycofania się z naszego ładu, Anglija musiałaby wejść *in medias res* jego spraw i problemów.

T. Grużewski.

Eurazjanizm jako nowa odmiana imperjalizmu rosyjskiego.

Po upadku caratu część podbitych przez Rosję ludów, ogłosiła swą niepodległość i odłączenie od imperjalizmu rosyjskiego. Nie wszystkie jednak z nich zdołały utrwalić zdobytą wolność. Niektóre zostały ponownie ujarzmione i mimo własnej woli, stały się terenem walki pomiędzy białemi a czerwonymi armjami rosyjskimi. Ponowny ten podbój nie stłumił bynajmniej dążenia podwładnych jeszcze Rosji- narodów do odzyskania swobody. Wręcz przeciwnie, hasła narodowościowe rzucane przez bolszewików oraz nieprzejęduane stanowisko, zajęte przez emigrację polityczną tych krajów, spotęgowały jeszcze bardziej ruch wyzwolńczy wśród ludności nierosyjskiej na wszystkich kresach Unji Sowieckiej.

Na Ukrainie, Kaukazie i w całej Azji środkowej, a więc w krajach liczących razem ponad 60 milionów mieszkańców, wyczekuje się tylko odpowiedniej chwili, aby upomnieć się o prawo do samodzielności.

Zdając sobie doskonale sprawę z tego, że próba zniesienia, za pomocą rewolucji, dyktatury bolsze-

wickiej doprowadzi niechybnie do ostatecznego rozkładu terytorjum Rosji, oraz widząc dobrze, że ani monarchizm, ani demokratyzm nie posiadają ideowych podstaw, zdolnych zastąpić sowiecko-związkową politykę narodowościową, emigracja rosyjska wynalazła nową teorię, która ma, rzekomo, przywiązać ludy azjatyckie do przyszłej Rosji.

Teoria ta, zdobywająca sobie coraz liczniejszych zwolenników wśród emigrantów rosyjskich, i w samej Rosji sowieckiej, nosi miano eurazjanizmu *).

Zbudowana ona została na następujących zasadach:

Rosja w obecnym jej stanie stanowi, pod względem geograficznym, odrębny zupełnie świat (eurazyjski), posiadający swą własną, również odrębną kulturę, powstałą pod wpływami trzech różnych kultur: południa (byzantyńskiej, od X do XII wieku), zachodu (tatarskiej czyli stepowej, od wieku XIII do XV i zachodu (europejskiej) od wieku XVI po dziś): Prawdziwa państwowość rosyjska powstała dopiero na gruzach imperjum Czingiz-Chana i jego następców: — Dzięki połączeniu się i współżyciu tych trzech kultur wzięła początek nowa jednolita i zupełnie odrębna, *cywilizacja eurazyjska*. Opanowała ona, jak to wykazuje mapa dzisiejszego związku sowieckiego, terytorjum dawnego cesarstwa Czingiz-Chana, włączając do niego również Mongolję, oraz oderwany przemocą, Turkiestan chiński, Bessarabję i wschodnie kresy polskie. Główną podstawę cywilizacji eurazyjskiej stanowiąc mają najstarsze wpływy byzantyńskie, a więc prawosławie; Kultura eurazyjska, będąc ideokratyczną, odnosi się wrogo do zachodniej kultury łacińskiej. Wreszcie, w dziedzinie polityki narodowościowej eurazjanie uznają obecny sowiecki ustrój federalny.

Streszczenie powyższe poglądów eurazjanów rosyjskich zdradza, jak to nie trudno zauważyć, po pierwsze, sztuczność nowej teorii, a po drugie, usiłowanie dostosowania jej do aspiracji nacjonalistycznych narodów azjatyckich (nie rosyjskich), walczących z imperjalizmem zachodnio-europejskim, po trzecie, pragnienie utrzymania nadal hegemonji Moskwy we wschodniej Europie i w Azji, oraz usprawiedliwienia instynktów zaborczych narodu wielko-rosyjskiego.

Bezpośredniość teorii eurazyjskiej nie trudno udowodnić. Przedewszystkiem, mylny jest wniosek, że kultura, oparta na prawosławiu, może być uważana za kulturę zdolną zjednoczyć chrześcijaństwo z islamem, a przecież w łonie Rosji obecnej wyznaje Islam przeszło 30 milionów ludzi. Nikt nie potrafi również dowieść, że buddyzm mongolski stanowić może, wraz z prawosławiem i muzułmaństwem, część organiczną jednej i tej samej (jednolitej) kultury; wreszcie należy zaznaczyć, że świat turko-tatarski współżyje z Rosją ulegając jedynie i wyłącznie przemocy. Byłoby rażąca nieprawdą twierdzenie, że narody azjatyckie, a w tej liczbie i ludy kaukaskie, nie pragną wyemancypować się jak-

najprędzej z wpływów kultury i państwowości rosyjskiej, by utrwalić w ten sposób swą własną niepodległość polityczną i kulturalną. Nieprawdą jest również, że narody podległe Rosji, są wrogo usposobione do kultury europejskiej i walczą z imperjalizmem zachodnich mocarstw. Natomiast jest faktem powszechnie znanym, że narody te niejednokrotnie powstawały oręcznie przeciwko imperjalizmowi rosyjskiemu. Ruch postępowy, jaki żywiołowo ogarnął ostatnimi czasy wszystkie ludy wschodnie, a zwłaszcza narody muzułmańskie orientuje się na Europę, a nie na Rosję. Dążą one bezwzględnie do przyswojenia sobie cywilizacji zachodniej we wszystkich jej przejawach. Dlatego też w walce o wyzwolenie z pod jarzma rosyjskiego narody azjatyckie, podbite przez Związek sowiecki, spodziewają się nie tylko sympatji, lecz i czynnego poparcia Zachodu.

Biorąc swe marzenia i nastroje za rzeczywistość, eurazjanie zupełnie zapomnieli o historii i jej naukach. Musimy tedy im ją przypomnieć.

Starożytne imperjum rzymskie pod względem geograficznym odznaczało się niemniejszą jednolitością, aniżeli Z. S. S. R., albo cesarstwo Czingiz-Chana. Obejmowało ono kraje położone w obrębie basenu morza Śródziemnego. Byłoby rzeczą zbędną zastanawiać się tu dłużej nad rolą morza Śródziemnego w rozwoju i rozpowszechnieniu cywilizacji grecko-łacińskiej albo arabskiej. Na jednolitości geograficznej usiłuje oprzeć się prawie każde imperjum. Zdobywcy światowi (Aleksander Wielki, faraonowie egipscy, królowie assyryjscy i perscy, kalifowie arabscy, chanowie mongolscy i sułtanowie tureccy) podbijają kraje i rejony, w najbliższym sąsiedztwie z ich własnymi państwami położone.

Co się zaś tyczy jedności kulturalnej, to Rzym, nie mniej a znacznie więcej od Rosji, zdołał nadać podbitym przez siebie narodom nie tylko swą kulturę, lecz i swą administrację i prawo. Romanizacja ta została nawet tak daleko posunięta, że narody podbite nieraz obdarzały Rzym imperatorami pochodzenia barbarzyńskiego.

Jeszcze większe wpływy na podbite kraje i ludy wywarł, kalifat arabski, bo arabizował on pod względem rasy, języka, nauki, literatury i religii, nie tylko cały półwysep Arabski, lecz i całą Afrykę Północną; nadał pozatem religję i kulturę i Turkom, i Persom, i całej Azji środkowej, i Indjom, i archipelagowi Malajskiemu.

Najbliższy w tym względzie przykład daje nam b. imperjum Ottomańskie, gdzie na powstanie państwowości złożyły się niemal te same pierwiastki co i w Rosji: kultura bizantyjska (prawosławie), liczne elementy słowiańskie, kultura arabska (islamska), kultura stepowa, (którą Turcy przynieśli z sobą z pod gór Ałtajskich) i kultura zachodnia. Podobnie jak i Rosja, cesarstwo Osmanów odznaczało się pewną jednolitością geograficzną, bo obejmowało terytorja, które należały ongiś po kolei do Egiptu, Persów, Aleksandra Macedońskiego, Rzymu i Kalifatu, a więc kraje, które stanowiły w dziejach ludności całość nie tylko

*). Interesującym się bliżej teorią tą polecamy broszurę p. M. Uzdowskiego: „Eurazjanizm”. Warszawa, 1936 r.

geograficzną, w sensie teorii eurazyjskiej, lecz i kulturalną i państwową.

A jednak ciągła walka tych wszystkich niegdyś tak potężnych mocarstw z prądami odśrodkowymi i dążeniami nacjonalistycznymi ujarzmionych przez nich narodów doprowadziła je do upadku i ruiny. Taki sam los oczekuje niewątpliwie i Rosję, gdyby zamiast zająć się rozwojem swej własnej kultury i państwowości wielkorosyjskiej, podejmowała zadanie, przechodzące jej siły, zdolności moralne i poziom kulturalny. Wreszcie, brak przewagi, pod względem liczebnym, ludności wielkorosyjskiej nad podległymi Związkowi sowieckiemu narodami, stoi również na przeszkodzie ku supremacji Rosji w dzisiejszych jej granicach.

Należy jeszcze zwrócić uwagę, że pomiędzy ludami, wchodzącymi w skład Z.S.S.R. są i takie, które zostały podbite dopiero w drugiej połowie wieku XIX, jak Kaukaz i cała Azja środkowa. Okoliczność ta zasługuje na specjalne podkreślenie, bo sama przez się obala twierdzenie eurazjanów o rzekomem przyswojeniu przez wszystkie narody, zamieszkujące Rosję, jednolitej i wspólnej kultury eurazyjskiej.

A więc doktryna eurazjanizmu może przekonać tylko samych Rosjan, wychowanych w marzeniach o dalszem panowaniu nad podbitymi ludami. Jest to zatem teoria nierealna, bezpodstawna i zwodnicza. Rosjanie, którzy pragną, rzekomo, uratować inne narody od zguby i nawet wyzwolić świat cały, nie potrafią nigdy zamaskować swych istotnych zamierzeń zaborczych, i w ten sposób wprowadzić w błąd ciemnione przez siebie ludy.

Eurazjanizm jest tedy niczem innym, jak tylko nową odmianą imperjalizmu rosyjskiego, przystrojona w szaty zwodniczej teorii, za pomocą której nacjonałiści rosyjscy usiłują uchronić spałek po caracie od dalszego rozkładu.

Wassan-Girej Dżabagi.

Konferencja panamerykańska na Kubie w świetle opinii południowo-amerykańskiej.

Imperjalizm finansowy St. Zjednoczonych — Walka Ameryki łacińskiej z potęgą dolara — Wniosła hasła demokracji i business triumfującego kapitału. Wymuszone kompromisy pod płaszczykiem porozumienia — Dwa oblicza wuja Sama.

Institucja zwana „Unją panamerykańską“ istnieje już od lat kilkudziesięciu. Jej stałą siedzibą jest Waszyngton, gdzie rezydują przedstawiciele państw południowo-amerykańskich. Podczas lat ostatnich „Unja“ zwołała cały szereg kongresów, które odbywały się kolejno w różnych miastach Południowej Ameryki, jak na przykład kongres kolejowy w Rio de Janeiro w 1927 r., kongres higieny dziecka w Santiago de Chile w 1924 r., kongresy naukowe w Waszyngtonie, Limie i Peru

między rokiem 1915 a 1925 i t. d. Kongresów tych nie należy mieszać z plenarnymi posiedzeniami („les conférences plénières“), z których pierwsze miało miejsce w 1889 r. w Waszyngtonie, gdy jeszcze Kuba i Panama nie były niepodległymi państwami, a następne w 1901 r. w Meksyku. Kolejno przyszedł czas na Brazylię (1906), Argentynę (1910) i Chili (1923). Konferencja panamerykańska na Kubie jest więc szóstą z kolei. Po raz pierwszy od czasu powstania „Unji“ wszystkie dwadzieścia dwa państwa były na tej konferencji reprezentowane. Rząd kubański miał nielada kłopot, wysyłając do wszystkich poszczególnych rządów specjalnych gońców z zaproszeniami. Prezydent republiki, Machado, wybrał się nawet w roku ubiegłym osobiście do Waszyngtonu, aby zaprosić Coolidge'a. Stolica Kuby, La Habana w dniu otwarcia konferencji przedstawiała widok niezwykły. Na domach powiewały sztandary dwudziestu dwóch państw amerykańskich. „Teatr Narodowy“, gdzie odbywały się plenarne posiedzenia, musiał pomieścić 20.000 osób. Obradom przewodniczył prezydent Kuby, mając po swej prawej ręce prezydenta Coolidge'a, a po lewej Kellog'a i Martinez-Ortiz'a.

Konferencja panamerykańska na Kubie, podobnie, jak wszystkie konferencje poprzednie zwołana została z inicjatywy Stanów, którym chodzi o sprawy ekonomiczne. Rozmowy o polityce, czy prawie międzynarodowym nie przysparzają dolarów, a yankesi nie lubią tracić czasu po próżnicy. W Ameryce Północnej triumfuje religja materjalizmu; siedzibą jej pontyfikatu jest New-Yorska Wall-Street. Stany Zjednoczone trzymają w swej sieci finansowej wszystkie państwa kontynentu. Dług Ameryki Południowej wobec Waszyngtonu wyraża się zawrotną cyfrą trzystu trzydziestu pięciu milionów dolarów, z czego na Argentynę przypada 88, na Boliwię 12, Brazylię 62, Kolumbię 53, Kubę 9, Peru 38, Urugwaj 31 i t. d. nie licząc już największego długu Meksyku, który wynosi 100 milionów pesów meksykańskich.

Zanim przystąpimy do szczegółowego rozpatrzenia prac konferencji panamerykańskiej, oddajmy głos dziennikarzowi południowo-amerykańskiemu, Martin Luiz Guzmanowi, który w piśmie „Repertorio Americano“, wychodzącym w San Jose de Costarica, uderza w dzwon alarmu, wykazując na podstawie nieubłaganej wymowy cyfr niebezpieczeństwo, zagrażające krajom łacińskim ze strony Ameryki Północnej.

W roku 1800 Stany Zjednoczone liczyły tylko pięć milionów mieszkańców, znacznie więc mniej, niż Meksyk. W roku 1820 liczba mieszkańców wzrosła do 9 milionów, w roku 1860 do 23, w roku 1880 do 52. W roku 1915 Stany Zjednoczone mają już 99 milionów obywateli. Ostatni spis ludności, dokonany w roku 1926 wyraża się imponującą liczbą 120 milionów. W przeciągu stu dwudziestu lat liczba ludności wzrosła więc dwudziestoczekrotnie. W roku 1780 terytorjum Stanów było nie wiele większe od terytorjum Meksyku. W roku 1803 terytorjum to powiększa się dwukrotnie. W roku 1819 Stany przyłączają Florydę.

W roku 1842 owładają Oregon'em, w 1846 Teksasem, w 1848 połową terytorjum meksykańskiego, w 1867 kupują Alaską, w 1893 podbijają Hawaj, w 1899 anektują Filipiny, w 1904 Panamę. W przeciągu stu dwudziestu pięciu lat terytorjum zwiększyło się trzykrotnie. W 1820 r. bogactwo Stanów Zjednoczonych wynosiło 7 milionów dolarów, w 1900 — 80 milionów dolarów, w 1913 r. dwieście milionów. Dzisiaj posiada Skarb Stanów miljardy dolarów w złocie!

Wobec tej wymowy cyfr zrozumiałe są alarmy, które co pewien czas ponosi prasa Ameryki Południowej. Los narodów sąsiadujących z cyklopem nie przedstawia się na przyszłość zbyt różowo. Martin Luiz Guzman przestrzega przed niebezpieczeństwem „polityki dolarowej” Historia Meksyku i Teksasu służy tu za wystarczający przykład. Yankesi przybywali z początku do tych krajów „jako goście pełni dobrych manier”. Wykupowali wszystko, co się wykupić dało, a później dla ochrony stanu posiadania, anektowali cudze terytorja, skolonizowane po części, dzięki potęgze ich pieniądza. Na Hawaj Yankesi byli plantatorami trzciny cukrowej. Gdy plantacje doszły do rozkwitu, rząd Stanów w 1893 roku zawiądnął całym wyspami. Konflikt między Stanami a Meksykiem wypływa z przyczyn natury ekonomicznej. Koję się są własnością Amerykan, do nich też należą, prawie wszystkie naturalne bogactwa tego kraju. Trzeba przeciwstawić dolarowi potęgę własnego pieniądza, aby zwyciężyć w walce — woła pisarz południowo-amerykański, wzywając do konsyliacji kraje łańskie, które wcześniej, czy później mogą się stać łupem gwiazdzistego molocha z północy.

Tyle M. L. Guzman. Jego głos nabierze dla nas innego znaczenia, gdy uświadomimy sobie, że jest on wyrazem obaw wszystkich południowo-amerykańskich państw, zatroskanych o przyszłość swoich krajów. Sfery finansowe z Wall-Street i sfery oficjalne z Waszyngtonu hołdują bowiem jeszcze ciągle idei, wypowiedzianej przez słynnego historyka amerykańskiego Bushnell Hart'a: „Wszystkie narody na ziemi dzielą się na dwie grupy: prawdziwe narody i narody niższe („inferior“). Świat wie, że państwa takie, jak Venezuela, Paragwaj, Nicaragua, lub Salvador są państwami słabymi, niezdolnymi do obrony przed silnym nieprzyjacielem, niezdolnymi do politycznie niepodległego bytu. To samo bez wyjątku powiedzieć można o wszystkich pozostałych państwach południowych”. Do tych dość przejrzystych słów Bushnell'a Hart'a dodał inny polityk amerykański, Olney, krótką, ale treściwą deklarację: „Stany Zjednoczone są w istocie rzeczy już oddawna jedynymi panami kontynentu amerykańskiego. („Los Estados Unidos son practicamente unos soberanos en el continente“). Takie wyznania wiary rozpraszają resztki złudzeń, co do prawdziwej intencji Stanów Zjednoczonych. Narody południowe, które w pojęciu północy, są narodami pseudo-cywilizowanymi, narodami, które prędzej, czy później muszą się stać wasallem Stanów, rozumieją już, że panamerykanizm dąży w praktyce do stworzenia

wielkiego imperjum kolonialnego, poddanego władzy „Białego Domu” w Waszyngtonie.

Jeżeli w łonie społeczeństw południowo-amerykańskich nurtują podobne prądy, jeżeli słynny statysta argentyński powiedział o „panamerykanizmie”, że jest on tylko maską kłamstwa, hipokryzji i serwilizmu, pod którą kryją się ambicje wielkich trustów i finansjery z Wall-Street — to dziwnem się wydaje na pierwszy rzut oka, że delegaci południowo-amerykańscy zgodzili się zająć przy wspólnym stole obrad z delegatami północy.

Nie zapominajmy jednak, że rządy południowe tkwią w kieszeni wuja Sama i że „bussines jest bussines”. Zgoda poszczególnych rządów na uczestniczenie w konferencji panamerykańskiej zbudziła gwałtowną opozycję w prasie i parlamentach. Trzeba dodać, że polityka Stanów poszła ostatnio na rękę tej opozycji. „This is Dollar Diplomacy, Truth forever on the scaffold. Wrong forever on the throne” — mówi o swych ziomkach „Bulletin of the National Comitee on Relations With Latin America” — damaskując obłudną grę polityczną. Rząd Stanów zwrócił się do Francji z propozycją podpisania traktatu, według którego „każda wojna w przyszłości ma być równa zbrodni”... a jednocześnie aeroplany amerykańskie bombardują terytorjum Wolnej Nicaragua. Wiadomości, nadchodzące z pola walki w El Chipote i Honduras brzmią wcale niepocieszająco. Do Metagolpa wyruszyły nowe, znaczne siły amerykańskie i operacje regularne mają się rozwinąć koło Chinandega i Leon. Nic dziwnego zatem, że wybór Kubańczyka, Gustavo Guerrero na przewodniczącego komisji prawodawstwa międzynarodowego na konferencji w La Habana, stał się hasłem ożywionej i namiętnej dyskusji o „Trybunale arbitrażu”. Wpłynęły wnioski Haiti i Urugwaj'u, aby interwencja jednego państwa w sprawę państwa drugiego, interwencja, która nastąpiła bez wypowiedzenia wojny, była traktowana jako gwałt międzynarodowego prawa. Tak też traktuje prawie cała prasa południowa wystąpienie Stanów przeciwko Nicaragua.

Niektóre państwa, jak Argentyna, Haiti, San Jose de Costarica, czy Urugwaj chciały wprowadzić przedewszystkiem na porządek dzienny obrad sprawę Nicaragua. Delegaci Stanów mogli się znaleźć w kłopotliwym położeniu. Liczyli jednak na sukces „pewnych czynników zakulisowych”, liczyli na rozdźwięk między rządami a narodami Ameryki południowej i... nie omylili się. Przedstawiciel Argentyny powiedział „że dysproporcja naszej siły i siły Ameryki Północnej nie pozwala nam na donkiszotowe pogroźki, a delegat meksykański wycofał się dyskretnie z konferencji pod pretekstem, że wzywają go do Meksyku obowiązki dyplomatyczne. Wyjazd jego komentowano w ten sposób, że delegację meksykańską na VI kongresie Unji ma zamiar zerwać z tradycyjną taktyką opozycji wobec delegacji Stanów. Przewodniczący Komisji amerykańskiej Hughes wybrany w pierwszym dniu obrad na przewodniczącego Konferencji zrzekł się tej godności, tłumacząc, że nie

może jej przyjąć, ponieważ obawia się aby Stany nie były posądzone o chęć wywierania jakiegokolwiek presji, co do przeprowadzenia swoich politycznych planów. To taktowne usunięcie się na plan drugi ta, pełna rzekomych skrupułów, skromność została powetowana innym nieskromnym gestem na morzu. Pięć wielkich krążowników, dwadzieścia „destroyers“ otoczonych wieńcem torpedowców i łodzi podwodnych zaczęło podczas trwania Konferencji demonstrować wdzięczność na morzu „de las Antillas“, a więc na wodach kubańskich. Rok ma pięćdziesiąt dwa tygodnie — pisał dziennikarz

kubański, Albinana — dlaczegóż więc admirał Stanów Robertson wybrał sobie na manewry właśnie ten tydzień, który jest tygodniem braterskiej konferencji? Wszystkie nasze państwa razem wzięte nie mogą się zdobyć na tak imponującą liczbę narzędzi mordu wojennego. Narody nasze kochają pracę pokojową i chcą pracować dla dobra pokoju. Polityka międzynarodowa zaleca pokój, jednakże praktyka uczy niestety, że do uprzywilejowania dochodzi się nie drogą zrównania praw, lecz drogą zrównania siły armat“

Dr. Edward Boyé.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO.

Także o Akademji.

Piszę dlatego, że doprawdy trudno mi jest zachować obojętność w tej chwili, gdy słychać zewsząd, że zapowiedź ustanowienia Akademji Literatury ma być jakoby cofnięta, że jej realizację udaremniają jakieś przyczyny nietylko niewiadome, ale właśnie całkiem niepojęte.

Cóż bowiem się zmieniło? Czy Akademia Literatury o tej chwili mniej jest potrzebna, niż wówczas, gdy potrzebę jej uznał i inicjatywę ustanowienia podjął Marszałek Piłsudski? Jaki przełom korzystny nastąpił w położeniu naszego piśmiennictwa, któryby teraz zbyteczność tej instytucji wykazał?

Czy rozciągnięta jest opieka nad wartościami naszej literatury? Czy wgląda ktoś w okropny poziom piśmiennictwa, produkowanego dla mas? Czy ma ktoś prawo nie dopuścić, aby ukazywały się ohydne anonimowe przekłady pisarzy obcych? Chwila jest ważna, czytelnictwo wzmogło się niezmiernie, tanie książki przenikają w najszersze masy. A rynek nasz zawałony jest wydawnictwami, odrażającymi swym wyglądem i swym poziomem.

Doniosłość Akademji Literatury dla rozwoju naszego piśmiennictwa umotywował i zadania jej wyszczególnił w projekcie swoim Stefan Żeromski. Za Akademią Literatury opowiedział się jednomyślnie ogół naszych pisarzy na Pierwszym Zjeździe Literatów Polskich, któremu przewodniczył Jan Kasprówicz. Było to osiem lat temu. Czy jednak te sprawy są dzisiaj mniej aktualne, czy zmienił się tak zasadniczo stan rzeczy?

Wszelka spekulacja, żerująca na bogactwie narodowym i pomniejszająca jego sumę, budzi w społeczeństwie instynkt samoobrony. wytwarza też specjalne organa tej samoobrony, popierane przez państwo.

W stosunku do tak wielkiego dobra, jakim jest dla narodu piśmiennictwo, nie można pozostawić nadal jego rozwoju wolnej konkurencji. Za-

potrzebowanie najniższej kategorii zawsze jeszcze jest regulatorem inicjatywy księgarskiej. Ogół pisarzy czuje potrzebę zmiany tego stanu rzeczy, potrzebę ingerencji na mocy innych kryteriów.

Poszczególne głosy pisarskiej opozycji, jakie się przeciw Akademji dały słyszeć, nie pomniejszają wagi tej potrzeby. Skostnienie akademji literackich na zachodzie nie może być dla nas argumentem odstrasającym. Nie były przecież takimi w epoce swego powstania. Wyrosły bezpośrednio z potrzeb ówczesnych i zadaniami swoim odpowiadały. Z chwilą, gdy to spełniły i stały się przeżytkiem, nic dziwnego, że są dziś zwalczane.

Przyjdzie niewątpliwie czas, że Akademia, której teraz pragniemy, stanie się niepotrzebna, przybierze formę skostniałą. Na to jednak, by mogła być uznana za przeżytek, wiele przedtem ma jeszcze do zdziałania.

Zresztą dzisiejsza epoka naszego polskiego życia, dzisiejszy czynny, kształtujący stosunek człowieka do rzeczywistości, powstawanie żywych, nowocześniejszych form państwowych, jest najszcześniejszą porą do założenia instytucji o charakterze właśnie twórczym, właśnie składającym nowe warunki dla pracy pisarskiej.

Gdyby piśmiennictwo w całym odnawiającym dziś swe podstawy i kryterja państwie miały pozostać na boku — byłby to smutny objaw niedocenienia jego twórczości, czynnej, formującej życie funkcji. I byłoby to wyrządzenie mu raz jeszcze krzywdy.

Pamiętajmy, że literatura o dobrym poziomie, literatura dająca miarę kultury narodu, jest u nas dziś zawsze jeszcze luksusem. I cały ciężar wytwarzania tych wartości, nie mających ceny obiegowej, spada dotąd wyłącznie na pojedyncze jednostki. Dopiero gdy umrą, wiemy, w jakich warunkach powstawały te arcydzieła, któremi chlubi się naród, z którymi przystąpić pragnie do międzynarodowej kulturalnej wymiany.

I tu powiedzieć muszę, powtórzyć jeszcze raz

za innymi tę rzecz wstydlivą: o ubóstwie ludzi piszących.

Ubóstwo rzeczywiście jest rzeczą wstydlivą—tak samo, jak starość i choroba. Dopiero pogrzeb jest właściwie przywróceniem do stanu godności, jest dopiero jakąś rehabilitacją. I dlatego o ubóstwie ludzi piszących mówi się głośno wtedy, gdy już umarli, wtedy już im to nie uwłacza.

I póki żyją, szepcze się o tem pokątnie i frasośliwie. Radzi się, czy mają złożyć podanie w Departamencie Sztuki, czy lepiej prosić o „dar łaski“, czy zwrócić się poprostu do Związku Zawodowego, gdzie ze składek członkowskich należało się kilkadziesiąt złotych. Wie się poufnie, jak jest temu, lub owemu z pisarzy — i mówi się o tem raczej z rezygnacją, niż z żywym poczuciem, że możliwym jest tej pomocy gdzieś zażądać, jakoś ją zorganizować lub skądś uzyskać. A choroba człowieka, który żyje z tego, że pisze, jest zupełną katastrofą, bo przecież przestaje pisać. I niema ani płatnego urlopu, ani prawa do zapomogi, ani nawet nie należy do Kasy Chorych.

Dlaczego nasze instytucje zawodowe, jak się lubi mówić: „wegetują“ albo nawet: „kuleją“? Mogłyby przecież spełniać to zadanie samopomocy.

Bo w takich instytucjach pięć czy dziesięć osób, obciążonych podwójną pracą — twórczą i zarobkową — schodzi się co tydzień lub co dni piętnaście, by spędzić wspólnie parę godzin dla obracania majątkiem, wyrażającym się sumą paruset złotych miesięcznie. I obraduje, czy z tych groszy przyznać komu czterdzieści czy sześćdziesiąt złotych zapomogi.

Ta nieekonomja, to trwonienie energii psychicznej, potrzebnej do pisania, niezmierny smutek przelewania i przesypywania tej nędzy, robienia rzeczy żalosnej i bezużytecznej sprawia, właśnie, że życie takiej instytucji jest „wegetacyjne“.

Wszyscy zaś pisarze, nie znoszący stanu nędzy, zarobkują jakąś formą dziennikarstwa, lekcjami lub pracą biurową. Krytycy są przeważnie adwokatami. Używa się do tych zajęć tego samego, najcenniejszego narzędzia, którem się tworzy, robi się to poprostu swoim talentem. A przynosi to jednak taką ulgę życiową, takie wytchnienie po troskach, że Przybyszewski (można to powiedzieć, bo umarł) za najszcześniejszy okres życia uważał swą posadę na poczcie.

Pisarze, zarobkujący poza literaturą, piszą nie tylko mniej książek, niżby mogli pisać. *Piszą je gorzej*. Piszą je pod mniejszym ciśnieniem konieczności twórczej i zarazem wkładają w nie mniej pracy. A z pamiętników Stendhala i Hebbła, z listów Flauberta wiemy jakiego ogromu pracy poza talentem wymaga dobra literatura.

Ubóstwo pisarzy i ich zarobkowanie poza literaturą oraz instynktowna, często nieświadoma „wolna konkurencja“ ze zwyciężającą na rynku wydawniczym tandetą sensacyjną, — łącznie sprawiają, że cały poziom naszej literatury jest gorszy, niżby mógł być i gorszy, niż myślimy, że jest.

Bo lubimy, my Polacy, być dumni z naszej literatury. A przecież nie wytrzymuje ona tak łatwo zestawienia z piśmiennictwami Europy, z umiejacą

już (teraz, gdy skostniały jej akademje) ocenić „dobry gatunek“ pisarza Francją, z małemi, szczegółliwemi, doskonale zorganizowanemi państwami północy. I niewątpliwie niejedno nasze arcydzieło mogło być lepiej napisane.

Podniesienie znaczenia literatury, jako stanu, dotąd niezmiernie upośledzonego, staje się w tym układzie przyczyną i skutków naglącą potrzebą, potrzebą zupełnie państwową. Akademia, której nie możemy utracić, powinna czuwać nietylko nad „dostojeństwem“ literatury, ile pilnować poprostu jej poziomu.

Niewątpliwie nie powinna być „formą emerytury“ dla weteranów piśmiennictwa, ale organem, który ustawę emerytalną dla pisarzy wywalczy. Nie powinna być „wynagrodzeniem zasługi“ zapomocą „fraków i orderów“, ale środkiem do ustalenia kryterjów zasługi i rękojmnią obrony tej zasługi przed „wolną konkurencją“ rynku. I powinni wejść do niej młodzi i najmłodszy, aby zagwarantować siłę jej działania, jej jaknajwiększą nowoczesność w nowoczesnym życiu Polski.

Zofia Nałkowska.

Na marginesie.

Numer ósmy berlińskiego tygodnika literackiego p. t. „Die Literarische Welt“ przynosi wielki, pięknie z żywą namietnością pisany list Tomasa Manna, zaatakowanego przez szowinistyczną „Berliner Nachtausgabe“ o schlebianie Francji, Francuzom i poniżanie duszy niemieckiego narodu.

T. Mann odpowiada namietnie, nie szczędząc dziennikowi niemieckiemu słów najsurowszej odprawy. Ustęp z powodu którego wybuchła polemika brzmiał w udzielonym przez Manna wywiadzie francuskiemu dziennikarzowi Durieux: Nasz nacjonalizm (niemiecki) pozbawiony jest talentów (artystycznych). Nie może pisać, tworzyć nie może, porywać w wyższym znaczeniu tego słowa. Jest on grzechem przeciw duchowi niemieckiemu. Pisarz, który poszedł za głosem tego nacjonalizmu, wcześniej, czy później — idzie na-dno. U was, u Francuzów jest nieco inaczej. Cały świat stara się kopjować u was to, co spostrzeżone u nas wywołałoby oburzenie całego świata. Nacjonalizm wasz — do niedawna przynajmniej mógł czarować, kusić, nęcić. Nasz nacjonalizm mógł być groźnym z punktu widzenia praktycznego. W wyższym znaczeniu wartości, nie jest żadnym niebezpieczeństwem.

* * *

Ostatnia książka Duhamel'a (La nuit d'orage) Burzliwa Noc może najfanatyczniejszych zwolenników tego pisarza napełnić obawą o tożwój jego talentu. Parę miesięcy temu poświęciliśmy na tem miejscu cały feljeton świetnej przedostatniej pracy powieściowej Duhamel'a t. j. „Pamiętniki Salavin'a“.

Podróż do Moskwy tego pisarza i Burzliwa Noc — to jakby utwory pisane pod przymusem, czy na zamówienie, czy w stanie wielkiego zmęczenia, czy dezorjentacji twórczej. Opanowany w Pamięt-

niku Salavin'a język staje się tu jałowym, opieszalym, obrazy mdłe, szare, kompozycja książki uciążliwa, nieprzepracowana zupełnie.

Czyżby apostołstwo społeczne, do którego tak gwałtownie poczuwa się Duhamel ciążyło już tak bardzo ujemnie na jego sztuce?

* * *

Proust po polsku! Pod tym tytułem Międzynarodowa Agencja literacka rozsyła odpowiednie skorowidze a nawet dzieła znakomitego pisarza francuskiego, informując zainteresowanych na jakich warunkach i jakie dzieła mogliby przekładać na język polski. Dzieła te stanowią wspaniały spis podtytułów, — i nie byle kto mógłby, tak pod względem pisarskim, jak wydawniczym podjąć się olbrzymiego dzieła przekładu Proust'a na polski.

W danym wypadku chodzi o podkreślenie i postawienie za przykład naszym wydawcom energii i obrotności Międzynarodowej Agencji Literackiej w Paryżu, która nie szczędzi kosztów, druków, egzemplarzy (pięknie wydanych przez NRF paryskie), autorskich, byle tylko świetnemu dziełu nie brakło zasłużonej propagandy.

* * *

Współczesnych prozatorów polskich po litewsku chce wydać Tow. Wydawcze Rój w przekładzie p. J. Tysliawa. Ogólną przedmowę do całego tomu, obejmującego około 20 arkuszy druku miałby napisać prof. Bierżyszka.

Inicjatywie tej należy przyklasnąć. Twierdzimy stale, że nic tak nie służy do wzajemnego poznania się narodów, jak twór literatury pięknej. Twierdzimy też, że jeżeli chodzi o nawiązanie zblżenia, to najłatwiej nawiązywać je przez pisarzy współczesnych nie zaś, jak to czyniono do niedawna — przez przekłady w porządku historycznym Reja, Kochanowskiego i t. d.

* * *

Cały Nr. 5-ty wychodzącego w Rydze tygodnika „Die Woche im Bild“ poświęcony jest Polsce. Numer ten odznacza się bardzo artystycznym układem podobizn mężów stanu polskich, architektury zabytków i pejzażu polskiego.

Na część literacką składają się przekłady z Rydla, Staffa, Konopnickiej i Kaden-Bandrowskiego dokonane z wielkim smakiem przez W. Gumpłowicza.

xyz.

Prenumerujcie „Głos Prawdy“

Buchalterja

I.

*Mamy u siebie, buchalterzy,
Schowane w biurku dla porządku,
Stare „dzienniki”, „księgi główne”,
Historję firmy od początku.*

*Nieotwierane, zakurzone
Karty, o brzegu czarnokrwawym,
Solidna była ta robota
Szerokich brzegów i oprawy.*

*A w śródku — wszędzie jest to samo:
Czerwonych llni długie pasy,
Cyfry, sumienna kaligrafja,
(U dużych liter — zakrętasy).*

II.

*Naprawdę przecież żył Iwanow,
Jakiś rosyjski kupiec a Czyty..
Ta książka rok miniony znaczy,
A każda strona — dzień przeżyty,*

*A każda cyfra — dług prawdziwy.
Czasem tak dawny i malutki:
Oto był winien 5 kopiejek
Z Władywostoku: G. K. Utkin.*

*Ach, panie, Utkin, panie kupcze,
Pan przecież także jest człowiekiem.
Czy żyjesz jeszcze? A co słychać
W twem mieście zimnem i dalekiem?*

*Bo była krwawa rewolucja,
Bo była wojna, wiele wojen.
Więc — nie o dług... Te pięć kopiejek
To już doprawdy są nie moje...*

*Chciałbym zobaczyć cię w tym kraju,
Chciałbym cię dotknąć i uwierzyć.
Że prawdę piszą stare książki,
Żeś żyw był, że już możesz nie być..*

III.

*Jest tyle, tyle miast na ziemi,
A w każdym piszą buchalterzy.
To wcale nie jest prozaiczne.
Znajdzie się taki, kto uwierzy.*

*Codziennie rano, punktualnie
Śladają sobie do roboty,
Często na twarzy mają szklisty
Wyras znużenia i tępoty.*

*Jeden z nich śledzi na poduszce,
Inny ołówek ma za uchem,
A tamten często usta kurczy
Niesamowitym jakimś ruchem...*

*Mijają lata, życie mija,
I pisze wciąż Buchalter błady,
A zaplansane, stare księgi
Na wieki chowa do szuflady.*

Władysław Sterling.

Kultura i Demokracja.

W powodzi olbrzymiej produkcji literackiej Paryża wśród różnych prądów i głosów wyróżnia się ostatnio obok „La République des Professeurs” Thibandet’a i „La Trahison des Clercs” Bende książka Jana Guehenno „L’Evangile Eternel” (studjum o Michelecie).

Wszystkie trzy dzieła dotyczą głębokich spraw ogólnoludzkich, zagadnień odpowiedzialności, solidarności społecznej i ostatecznych celów naszego bytu.

Bende i Guehenno stają, każdy po swojemu, jako oskarżyciele sfer kulturalnych. Pierwszy zarzuca „mędrcom” dnia dzisiejszego zdradę absolutnych ideałów, drugi potępia egoizm odosobnienia i brak sił życiodajnych. Guehenno uznaje za karygodne stanowisko inteligencji całego świata w okresie wojny, stanowisko, które uniewinniło straszną zbrodnię wojenną.

„Historje poszczególnych krajów, czytamy we wstępie do jego książki, będą mogły nazwać zwycięstwem lub klęską wielkie doświadczenie z przed 10-ciu laty... historia ludzkości może je tylko określić jako haniebną klęskę... Cywilizacja stała się odąd mętłem słowem; wszyscy się spostrzegli, że oznacza ona niestety za często, wymowny faryraizm i pobożne okrucieństwo”.

Młody pisarz dotknięty „społecznym bólem” zwrócił się do Michelet’a apostoła demokracji, z czasu kiedy wiara w nią była jeszcze niezachwiana.

W pamiętnych dla Kollegjum Francuskiego latach przełomowych z 4-go na 5-ty dziesiątek ubiegłego stulecia głosy trzech natchnionych mówców rozbrzmiewały w jego uszach. Mickiewicz, Michelet i Quinet porywali słuchaczy głosząc wieczną sprawiedliwość i ostateczne jej zwycięstwo.

Wszyscy trzej, każdy po swojemu, podnieśli brzemie apostołskie, wszyscy chcieli dać światu słowo wyzwolenia, rozwiązać tajemnicę życia.

„Ludziom po pracach apostołów było lepiej, i nami codzień ta jedyna myśl powodować powinna, aby tym co przyjdą po nas było lepiej”—mawiał Mickiewicz.

Jan Guehenno, dziecko ludu francuskiego, jak Michelet, pragnie wykazać różnicę jaka zachodzi pomiędzy optymizmem pierwszej połowy XIX w., a epoką dzisiejszą, podkreśla zarazem głęboki rozdźwięk niemal przepaść, która dzieli obecnie kulturalne sfery inteligencji francuskiej od reszty narodu.

Wkrótce ma się ukazać drugie jego dzieło zatytułowane „Caliban parle”, którym autor przemówi w imieniu nieufnego i zawiedzionego ludu, istoty zbiorowej przedstawiającej liczbę i jej prawa.

W ubiegłym tygodniu odbył się na Sorbonie odczyt p. J. Guehenno, który miał charakter wstępu do mającego się ukazać dzieła.

W słowach zwięzłych i pełnych życia przedstawił prelegent tragizm losu wielu synów ludu. Przekroczywszy oni próg wyższego wykształcenia,

czują oni ścianę wznoszącą się powoli pomiędzy nimi, a tymi, których przedstawicielami być mieli w świątyni wiedzy, z którymi dzielić chcieli nabyte światło.

Ze szczerą męką zapytywał Guehenno słuchaczy co daje inteligencja masom? Jakie wspólne dążenia łączą jednych z drugimi, czy raczej na przekór hasłom Wielkiej Rewolucji nie rozpadli się znów naród na stan oświeconej burżuazji, ufnej w należące się jej dzięki, nabytej kulturze przywileje, oraz na stan robotniczy, niechętnie usposobiony do tamtych, uprzywilejowanych, chociażby to byli jego własni synowie, nieufny a jednak stęskniony i ciekawy źródła poznania.

Na początku XIX w., mówił prelegent, ludzkość była natchniona duchem i tradycją Rewolucji.

Ten wiek tragiczny zaczął się od wyznania wiary w prawa człowieka i prawa liczby; sfery oświecone poczuwały się do solidarności z ludem, stanowisko nauczycielskie miało charakter apostołstwa.

W końcu wieku nastąpiła zmiana; trzy rewolucje, w których lud był zwycięzcą, nie przyniosły mu owoców, których się spodziewał i o które walczył... nieufnością zaczął dążyć wszelkie hasła i ich głosiciele, inteligencja odeszła „w prawo” i wiek przelamał się na ideach Renan’a, na bluźnierstwie hasła wolnościowych: intelektualnej tyranji umysłów.

„Wierście Państwo, mówił Guehenno, że nikt bardziej niż ja nie ceni, nie kocha odwiecznej mądrości starożytnych, nie występuję tu przeciw Tukididesowi lub Platonowi, przynigdy, kultura ich była do głębi humanitarna, występuję przeciwko deformacjom tej wiedzy, które prowadzą ludzkość na manowce. Niestety nasza cywilizacja ma więcej styczności z rzymską niż z grecką, a już kultura rzymska była pod względem humanitarnym deformacją kultury greckiej”.

Wszystkie siły żywotne, zdaniem Guehenno, wychodzą z ludu, ale wszyscy jego synowie dezertują, trudność nie leży w tem żeby się podnieść wyżej, ale w tem żeby podniósłszy się nie zdradzić pnia, który cię wydał, nie zostać mieszańcem, bękartem...

Każda wielka idea wciela się dopiero zstępując do serc ludu, który ją wykarmi swą żywą krwią.

Siedliskiem prawdy i jej poznania nie są tylko pracownie i laboratorja uczonych, przejawia się ona także w codziennym trudzie proletariatu.

Jedni badają rzeczywistość omylnym rozumem, drudzy równie omylnym zdrowym rozsądkiem.

Przyjmując również osobistą odpowiedzialność za grzechy inteligencji, potępiał prelegent w surowych słowach zarozumiałość i pychę „uczonych”.

Nikt nie zdoła przyczynić się do postępu świata wykluczając masy od wspólnego dążenia.

Nie tylko „les clercs” (uczni), jak powiada Bende, popełnili zdradę, ale cała Kultura dzisiejsza odgradzona chińskim murem od cierpiącej ludzkości i kryjąca zazdrośnie osiągniętą wiedzę — cała ta Kultura jest zdradliwa.

Za skutek tej zdrady uznał prelegent niebezpieczny pociąg, który wywiera na umysły idea bolszewickiego komunizmu. Rewolucjoniści zeszłego wieku i obecni socjaliści są z gruntu optymiści, wierzą w „dobroć“ wrodzoną ludzkiej istocie, w zwycięstwo sprawiedliwości. Bolszewizm to doktryna pesymizmu, zawodu, to mistyka serc zrozpaczonych. Ta rozpacz głęboka stanowi właśnie różnicę pomiędzy socjalistą a bolszewikiem.

M. Czapska.

Dyskusja w sprawie Literackiego Kościoła Wojującego.

Należy żałować, że autor interesującej repliki w sprawie „Literackiego Kościoła Wojującego“, kol. Jerzy Sander nie zna artykułu prof. Zygmunta Lempickiego z „Przeglądu Współczesnego“ za rok — zdaje się — 1925 o Katedrach humanistycznych w Niemczech, poświęconych wyłącznie współczesności.

Prof. Lempicki, a więc naukowiec czystej wody, dowodzi sam najzupełniej przekonująco, że współczesność badać można naukowo — w całym znaczeniu tego wyrazu — i to bez uciekania się do jakichś specjalnych nowych metod. Bo też, czy nie potrafimy dzisiaj ustalić wartości wiersza np. Lechonia w dorobku dotychczasowej literatury polskiej, stosunku genetycznego do innych utworów współczesnych, przeprowadzić analizy treściowo-formalnej i t. d. — i to równie ściśle, jak gdyby chodziło o sielankę Szymonowicza. Inna rzecz, że zachodzą przy Lechoniu daleko większe trudności, niż przy Szymonowiczu.

Ze t. zw. perspektywa historyczna jest właściwie komunałem, tego dowodzą np. studia Wacława Borowego o Boy'u, drukowane w „Przeglądzie Warszawskim“, studia ściśle naukowe o autorze żyjącym.

Wreszcie optymizm kol. Sandera, dotyczący terenu uniwersyteckiego, wydaje się problematyczny. Nie należy pobożnych życzeń własnych przedstawiać jako fakty rzeczywiste; przy nowym systemie magisterjów (i przedtem również) uniwersytet stał się właśnie seminarjum nauczycielskim, no, i nie każdy nienauczony sam się nauczy „z żywego czytać“.

L. E.

Głos ucznia.

Do p. redaktora „Głosu Prawdy Literackiego“.

O nauczaniu w szkołach nie współczesnej, ale — wczorajszej i przedwczorajszej literatury.

Tak, jest tak, jak pisał kolega Ż—a. Wiemy o tem. Pizecie to samo: za wypracowania odbiegające choć trochę od szablonu — źle, za szablony, zbudowane według praprawiecznych wyrażzeń i zestawień — dobrze.

*) Drukując raz jeszcze głos profesora, oświadczamy, iż nadsyłanych nam głosów profesorskich bez ujawnienia nazwisk drukować nie będziemy. Red.

Cóż mówić o „nowej“, współczesnej literaturze, tak pogardzanej, ba, wyklinanej na wszystkich wykładach w szkole, jeżeli się zobaczy, jak jest traktowana chociażby literatura romantyczna. Jakich to dają polonistów nam, uczniom wyższych klas gimnazjum.

Czyż nie widzimy, że dzieła Mickiewicza, Słowackiego, służą tylko jako łamigłówki i ćwiczenia, szybkiej orientacji, pamięciowe czy inne?

Przechodzimy z owym polonistą wiersz po wierszu, wymęczamy znaczenie poszczególnych zdań, niemal kropek i przecinków.

Wiemy „gdzie toczy się akcja“, „co mówi Grażyna“, a czasem... nawet wiemy „jaka jest idea główna utworu“...

Gdzie są szersze syntezy?

Umiemy tylko odpowiadać na pytania: „jaki jest stosunek Mirzy do Czatyrdathu?“, „Do czego porównuje Mirza Czatyrdach?“, „Do czego porównuje w następnym wierszu?“. Rzeczą polonisty jest dopatrzeć się różnych głębi w sonecie i powiadomić nas, że „artyzm Mickiewicza polega na umiejętnym stosowaniu środków stylistycznych“. Wspinał!

90 proc. moich kolegów nigdy nie zainteresuje się literaturą po ukończeniu szkoły. Bo nigdy nie nauczono ich — poznawać. Nauczono robić z poezji — zadania konikowe.

Tak jest nie tylko w naszym gimnazjum, państwowym gimnazjum w jednym z największych miast Polski.

Wiem od kolegów, że takich szkół jest dużo.

„Poloniści“ wszelki objaw indywidualności i oryginalności — zduszają. Albo jak się to dzieje w pewnym gimnazjum na Kresach, propagują „Krasopismo“ w najgorszej formie, à la „Ojczyzna — blizna“.

Musimy wywalczać wiedzę jak ci z „Syzyfowych prac“. Błąkać się, dorozumiewać się z artykułów w pismach, zdobywać z wysiłkiem najprostsze zasady. I dojrniemy sami.

Dziękujemy wam! O ileż nam lżej!

A. L—cz.

Nad książką.

Prof. Tadeusz Zieliński wydał w odbitce z miesięcznika „Wiedza i Życie“ broszurkę p. t. Zniszczony wodospad. Znakomity uczony opisuje tu losy sławnego wodospadu w Terni (we Włoszech) i opowiada, jak wodospad ten urządzony kiedyś jeszcze przez Rzymian zniszczyli obecnie Włosi dla celów przemysłowych.

Świetny klasyk, jakim jest Zieliński podnosi tu odrazu pytanie, które możnaby i dziś rozwinąć z wielkim dla dyskutujących pożytkiem: Czy pamiętka historii, ma ustąpić pożytkowi? Zieliński nie odpowiada na to pytanie, czujemy jednak, że głosowałby za pamiętką historii.

Podobno „Dzikuska“ (historja miłości) napisana przez Irenę Zarzycką a wydana przez Tow. Wyd. Rój bije niebywały rekord powodzenia. Rzec

ta miała się rozeseć w czasie trzech tygodni — w ilości dziesięciu tysięcy egzemplarzy, zamówienia zaś mają już prawie pokrywać sumę nowych dziesięciu tysięcy.

Objaw ciekawy — jeżeli chodzi o kształtowanie t. zw. drugorzędnej literatury. Może warto zbadać treść tej książki, aby osądzić, co tak porywa szerokie niewybredne masy, iż rozschwytuja dzieło, — o którym zresztą nie było dotąd żadnych sprawozdań i omówień?

Gdyby można było kompletować jakieś podręczne biblioteczki dla posłów sejmowych włączylibyśmy do takich biblioteczek wydane niedawno przez Bibliotekę Narodową w Krakowie „Czasy Saskie“ w opracowaniu Józefa Feldmana. Książka sa poprzedzona przedmową historyczną J. Feldmana, w doborze poszczególnych rozdziałów, opisów, wyjątków bibliograficznych i pamiętnikarskich daje bardzo trafny skrót tej właśnie epoki upadku i ciemnoty, nadżycia władzy i t. p. epoki, którą trzeba było kilku wiekami ciężkiej niewoli.

Ewa Szelburg wydała ostatnio w Tow. Wyd. w Warszawie powieść p. t. „Dziewczyna z Zimorodkiem“. Do książki tej powrócimy niebawem zaznaczając narazie, że p. Szelburg, jak Kuncewiczowa, Wołoszynowski, Kossowski, Wat, znajduje się po zeszłorocznym, a bezspornie udałym debucie autorskim w tym trudnym okresie, gdy po pierwszych zwycięstwach debutu trzeba przejść do utrwalenia swych wartości artystycznych w literaturze.

ab

Echa literackie.

San Guehenno autor dzieła o Michelecie wydaje w najbliższych tygodniach książkę pod tytułem „Caliban parle“, na temat palącego zagadnienia wzajemnego stosunku elity umysłowej i mas ludowych. Książka ta może być dla nas Poleków specjalnie interesująca. Osia, koło której obraca się myśl Guehenno jest problem demokracji. Poprzez Michelet'a — ma on punkty styczności z Mickiewiczem i z myślą polską.

12-go Marca w Nantes jako w stuletnią rocznicę urodzenia Jules Verne'a w tem mieście mają się odbyć wielkie uroczystości.

Nagroda Literacka imienia Juljusza Verne'a na rok 1928 została przyznana p. Gaston Pastre za jego książkę „Tajemnica piasków“.

Wells kończy swoją ostatnią powieść, pod tytułem „Droga którą idzie świat“ (The way the world is going) Arnold Bennett drukuje nową powieść pod tytułem „Dziwna Awangarda“ (The strance vanguard).

Maeterlinck wyda w najbliższym czasie dzieło zatytułowane „Życie w przestrzeni“.

W wydawnictwie Spes ukaże się wkrótce książka „Moskwa bez maski“ napisana przez belga J. Douillet.

Jako dawny konsul w Moskwie i członek misji Nansenowskiej Douillet zna Rosję od 35 lat, a 9 lat mógł obserwować zblizka reżym sowiecki.

„Comœdia“ drukuje obszerny artykuł o projektowanym pomniku Mickiewicza dłuta Bourdell'a — zaznaczając gorącą miłość wielkiego rzeźbiarza dla Polski. Przybraną matką artysty była druga żona Michelet'a i ona to od dzieciństwa wpajała weń kult dla Polski i dla Mickiewicza.

Paul Morand drukuje tom wierszy z Ameryki pod tytułem U. S. A. 1927.

Frank Harris wydał biografję Wilde'a, która jest najbardziej bezstronną i znamionną pracę o autorze portretu Dorjana Grey'a.

W ostatnich Nouvelles Literaires Aubry pomieszcza ciekawy artykuł o stosunku Conrada do Francji.

„Revue Mondiale“ podaje odpowiedzi na ankietę: jakim słowem da się najlepiej określić epokę dzisiejszą.

Odpowiedzi są najróżniejsze.

Jacques Bainville proponuje słowo: „inflacja“.

Detail: „globalizm“.

Pani de Noailles „modernizm“.

Malarz Van Dongen odpowiada prostem słowem „epoka cocktail'ów“ zaś twierdzi, że epoka zdobywa sobie nazwę dopiero wówczas gdy można w perspektywie oddalenia ogarnąć je w całości.

Twórca futuryzmu — Merinotti występuje z szeregiem odczytów w Hiszpanji.

Przyjaciele zmarłej tancerki Izadory Duncan wydali u „Grenier'a“ książkę pod tytułem „Pisma o tańcu“, Są to autentyczne notatki i ustępy z listów wielkiej tancerki.

Itm.

Z Rosji Sowieckiej.

— INSTYTUT CZY PANTEON.

Świeżo zmarły członek komunistycznej akademji Bechterew zajmował się ostatnio zorganizowaniem „Panteonu Mózgów Ludzi Zasłużonych“. Mózgi Rubinsteina i Mendelejewa zbadane i spreparowane pierwsze spoczną w Panteonie. Bechterew podkreślał różnice między takim Panteonem, a Panteonem paryskim.

Panteon Mózgu znajdować się będzie w Muzeum Anatomji Porównawczej, albo w Akademji Psychoneurologicznej czy też w Instytucie R-fleksologicznym, bowiem mózgi ludzi zasłużonych będą stanowiły przedmiot badań naukowych.

Mózg Bechterewa zostanie także złożony w tym Panteonie.

— PRZEDSTAWICIELE NIEMIEC.

Komisja dla badań nad Literaturą Proletariacką (komisja ta jest podporządkowana Sekcji Li-

teratury i Sztuki w Komunistycznej Akademji) zorganizowała 10 grudnia wieczór poświęcony proletariackiej literaturze Niemiec. Niemcy reprezentowane były przez panie Bertę Lask i Tridę Rubiner oraz p. B. Becher.

* * *

— JUBILEUSZ LUNACZARSKIEGO.

W Moskwie 14 lutego w Wielkiej Sali Konserwatorium obchodzono uroczystość dziesięcioletniego istnienia Komisarjatu Ludowego dla Spraw Oświatowych.

* * *

— ISTRATI I SOWIETY.

„Z. S. S. R. — mówią, słowa odezwy przyjaciół Rosji Sowieckiej — będzie w przyszłości źródłem skąd ludzie przyjdą czerpać odwagę, wiarę i nadzieję... Dzieło Sowietów pod względem moralnym jest sprawą wielką... Czcimy Związek S. S. R. wszystko co uczynił nawet gwałty dyktowane przez konieczność... Uważamy ją za matkę, nie mamy prawa jej sądzić, musimy iść za nią... Jest nas dziś niewiele, ale pójdą za nami wszyscy”.

Odezwę tę podpisało 10 zebranych z całego świata przyjaciół Sowieckiej Rosji, pomiędzy innymi Panait Istrati.

u. t.

Odpowiedzi „Głosu Prawdy” Literackiego.

Jerzy K. M. Łódź. — Powieść pańska, względnie opowiadanie powieściowe przeczytaliśmy z zajęciem. Umie Pan tworzyć figury żywe, ba, może nawet charaktery. Widzi Pan bardzo dokładnie, odczuwa Pan tak dobrze polską zapomnianą „provincję” to znaczy owe życie europejczyków, znajdujących się wciąż jeszcze w tak nieeuropejskich warunkach. Tembardziej dziwimy się, iż nie przyszło Panu do głowy, że rzeczy tych w XX wieku nie można opisywać stylem niezapomnianego Lema, czy nawet Kolokacji Kerzeniowskiego. Dlaczegoż nie poszukał Pan odpowiedniego wyrazu artystycznego? Pisać, — przy wymogach dzisiejszej techniki, które zresztą płyną z wrażliwości dzisiejszego autora i czytelnika, wrażliwości „przyspieszonej” przez całą współczesną technikę, — pisać, to nie znaczy tylko opowiadać „składnie”, — lecz rzecz opowiadaną przedstawić, jako obraz, jako ruch, jako dźwięk i t. d. Słowem szukać trzeba tu swego artystycznego kierunku? Mamy wrażenie, że warto!

Nemo, Kraków. — Dziękujemy za tak miły list. Nie zgadzamy się z poglądami Pana. Do licha, sądzi Pan zbyt surowo. Uważamy Illakowiczównę za znakomitą poetkę. Zbyt surowo osądza Pan Pawlikowską. Nie widzimy żadnego nieszczęścia w tem, że Żydzi mogą być dobrymi poetami polskimi. Czy sądzi Pan, że Henryk Heine wielki poeta niemiecki tak bardzo zaszkodził niemieckiej kulturze swą genialną poezją? Skądże te potworne przesady? Wiersze

pańskie, niestety w koszu. Zalecamy naszym korespondentom prostotę, jako antidotum na fałszywy patos, na nieznośny sentymentalizm. Pan, też, — zamiast pisać o sobie, o swych ludzkich cierpieniach czy radościach, ukrywa się w swych wierszach pod maską czy habitem jakichś pielgrzymów i tego rodzaju innych niedonosków. Panie kochany, — tu radjo, tu elektryczność, a tu nagle — pielgrzym? Powiedz Pan, — biedak, nędzarz, kaleka i niech wiemy, dlaczego, co, jak i daj nam Pan zrozumieć w skromnych wierszach losy tego człowieka. A nie, — „pielgrzym”. kolumny, na których, — oczywiście, — można gadać, co się komu podoba. Jedyny z pańskich wierszy godny opracowania to właśnie o „kolejarzu”. O biednym kolejarzu a nie o pielgrzymie!

Jan Jaw. W-wa. — Nie pisać chyba! Nie widzimy śladów talentu, obraca się w starych kanalnych komunalach „poetyckich”.

Adam Gal. Lublin. — Nowela zaczęta bardzo ciekawie już na trzeciej stronie idzie samą mielizną. Opis walki na drągi niezręczny, nieskomponowany. Miał Pan do wykonania rzecz mocną, tymczasem roztrwonil Pan to wszystko w formalnych szczegółach bitki, cały problem społeczny (dwaj nędzarze walczący) odsuwając na plan dalszy. Koniecznie całą rzecz jeszcze raz przerobić.

Dr. Teodora Kraj. Serajewo. — Oddaliśmy politycznemu redaktorowi naszego pisma. Za swej strony prosilibyśmy o wiadomości i artykuły literackie — o literaturze tamtejszej, tak o wybitniejszych prądach, postaciach, jak i o nowości kronikarskie.

Albatros. — Wiersze gorzej, niż przeciętne, bez żadnej wartości.

Stanisław C. Hrubieszów. — Dziękujemy za zaufanie, poemat dla nas za długi. Trzeba koniecznie skończyć z tego rodzaju przenośnią, jakiej Pan stale używa. „Młotem cierpień” — i t. p. Wysiłek artystyczny wymaga opanowania.

J. K. Grodno. — Trzeba przecież dążyć do czegoś więcej, w swej sztuce. Tymczasem Pan, — przewala ciągle te same frazesy, puste, napuszone. Piszemy to z zupełną bezwzględnością, trzeba, żeby ktoś prawdę powiedział. Wiersze są bez żadnej wartości!!!

B. L. — Nawet po przerobieniu nie odpowiada nam ta „romantyczność”!

Zbigniew C. — Nadesłane wiersze nie mają żadnej wartości, nie będziemy ich omawiali.

K. M. Bakszty. — Jak wyżej.

Tadeusz B. Sosnowiec. — Nadesłana próbka zbyt jest nikła. Odradzamy takiego pisanie symbolicznego — o niczem. Dziękujemy za miłe słowa.

E. York, Lida. — Znać bystrą obserwację, humor, pewien umiar w opowiadaniu. Należy jednak przedewszystkiem zacząć od pracy nad zdaniem. Mnoży Pan dopelnienia, zdania względne i t. p., tak dalece, że zatracą się w tem właściwy rysunek pańskiej prozy.

Jesień, Świst wiosny i t. p. — Bez wartości.

Mimosa. — Już odpowiedliśmy. Nie do druku.

A. T. S. Hrubieszów. — Miły dowód czci i uznania dla Wielkiego Człowieka, niestety bez wartości poetyckiej. Pozostałe wiersze bez żadnej wartości. Naogół omawiamy często rzeczy bardzo średnie, — ale tych nie warto omawiać.

PEDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYŃSKI

Drukarnia „OSTOJA”, Tamka 37.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem

ake. 330/61D.